

# TW – trochę winny

24 grudnia 2007

(Pamięci J.L.)

– Panowie, gasimy! – głos pielęgniarki był ostry.

Wiktor spojrział na pana Józefa i uśmiechnął się przepaszająco, kiedy jego ręka powędrowała do kontaktu. Po ostatnich wypisach zostało ich już tylko dwóch na sali. Wiktor miał zresztą nadzieję, że dla niego to także ostatnie dni w szpitalu. Czuł się całkiem dobrze, a i doktor Gosiewski obiecywał niedługi wypis.

Z panem Józefem leżał tu od początku, od czasu, gdy przywieziono go jeszcze z całym zestawem kroplówek, które powolutku odłączano jedną za drugą.

Właściwie nie wiedział, na co choruje pan Józef. I prawdę mówiąc mało go to obchodziło. Bo i też pan Józef nie należał do ludzi bardzo towarzyskich. Całymi dniami potrafił leżeć z oczami wbitymi w biel szpitalnych ścian i nie odzywać się do nikogo. Tylko w niedzielę przychodziła do niego zadbana, dobrze wyglądająca kobieta, na oko z dziesięć lat młodsza. Siadała na łóżku i patrzyła na pana Józefa. A potem wychodziła, pozostawiając po sobie zapach drogich perfum. Wiktor nigdy nie ośmielił się zapytać pana Józefa, kim jest jego gość – żona, córka, kochanka – tylko takie możliwości przychodziły mu do głowy. Ale nie zapytał. Nawet ostatniej niedzieli, kiedy zostali na sali sami.

Wiktor zamknął oczy, starając się zmusić swój umysł do wyłączenia. Podczas całego pobytu w szpitalu męczyła go bezsenność. Długie godziny spędzane w półmroku szpitalnej sali z wąską smugą ostrego światła sączącego się od korytarza wśród pochrapywania sąsiadów były dla niego największą torturą. Jednak na prośbę o proszki na sen nie zdecydował się nigdy.

Pan Józef też chyba miał problemy z zasypianiem. Wiktor słyszał ustawiczny skrzyp drucianych sprężyn jego łóżka, kiedy przewracał się z jednego boku na drugi.

Tak było i tej nocy. Godzina snuła się za godziną. Wiktor co chwilę spoglądał na fosforyzujące wskazówki. Dochodziła północ, kiedy niespodziewanie rozległ się głos pana Józefa.

– Wie pan? To moja ostatnia noc tutaj – pan Józef usiadł nagle na rogu łóżka.

– Wypisują pana? – odezwał się Wiktor, kiedy zdecydował się wreszcie, że nie będzie udawać snu.

– Pewnie i wypiszą – potwierdził głucho pan Józef. – Bo zmarłych chyba też wypisać muszą.

– Co też panu za głupoty się po nocy roją! – oburzył się Wiktor. – Też pomysł!

– Widzi pan – poważnym głosem ciągnął pan Józef. – Ja wiem, że nie dożyję następnej nocy. Nigdy nie byłem nazbyt wierzący, nigdy nie wierzyłem w przepowiednie, w przeczucia i inne tego typu bzdury. To jednak wiem. Jutrzejszej nocy nie dożyję. I pan, właśnie pan, musi mnie wysłuchać. Bo ja już dłużej milczeć nie mogę.

– Może zawołać siostrę? – Wiktor nagle wystraszył się. Myśl wysłuchiwanie przez całą noc cudzych zwierzeń, zdała mu się w tym momencie bardziej wstrętna od kolejnej bezsennej nocy.

– Siostra tu nic nie pomoże – westchnął pan Józef. – Ja to wszystko muszę komuś opowiedzieć. Po prostu muszę.

– To może poprosić kapelana – zaproponował z nadzieją w głosie Wiktor. – z całą pewnością nie odmówi. Pójdę, powiem siostrzyczce! – zerwał się z łóżka.

– Wie pan, ja z Kościołem to już dawno nie miałem nic... – pan Jerzy przerwał i uczynił w powietrzu znak, którego znaczenia

Wiktor mógł się tylko domyśleć. – Zresztą co ten młokos może wiedzieć... Ile on może mieć lat? Pewnie urodził się już w osiemdziesiątych. Dla nich tacy ludzie jak ja to czysta magia. Co innego pan, panie Wiktorze. W którym pan się urodził, jeśli to nie tajemnica?

– Jaka tajemnica? – ręka Wiktora bezwiednie wylądowała na tabliczce informacyjnej. – W 64 roku.

– To też pan miał szczęście – roześmiał się gorzko pan Józef.  
– Ja tylko 12 lat wcześniej. Tylko tyle i aż tyle.

– To rzeczywiście niewiele – zdziwił się Wiktor, który był głęboko przekonany, że jego sąsiad jest o wiele starszy. – Tym bardziej nie powinien pan myśleć o śmierci. To niedorzeczność.

– Zostawmy to, dobrze? – pan Józef uśmiechnął się tym razem z lekkim pobłażaniem. – Istotnie zdawałoby się, że nie dzieli nas wielka różnica wieku. Znam małżeństwa, które dzieli większa różnica wieku. Ale tak naprawdę należymy do dwóch zupełnie różnych pokoleń. Pan chodził do szkoły za Gierka, a maturę zdawał za Jaruzelskiego? – gorączkował się pan Jerzy. Wiktor odpowiedział skinieniem głowy. – No to pan niewiele wie o PRL-u.

– Wie pan – obruszył się gwałtownie Wiktor. – Mogę panu pokazać, co mi na brzuchu zostawili zomowcy!

– Niech się pan nie gniewa! Ja wiem, że... No że dla pana PRL jest taką samą rzeczywistością jak dla mnie. Pan wie co to ZOMO, co to KC, czym była egzekutywa. Tego nie wiedzą już nawet dzisiejsi 30-latkowie. O młodszych nie wspominając.

– „Myśmy wszystko zapomnieli, mego ojca nocą wzięli...” – roześmiał się Wiktor, któremu przypomniały się słowa jego kolegi z klasy, który zareagował tak na wieść o kolejnym wyborczym zwycięstwie prezydenta Kwaśniewskiego.

– Tak właśnie – podchwycił pan Jerzy. – Większość naszego

społeczeństwa zapomniała, czym był komunizm. A ta młodsza część... – machnął ręką. – Szkoda gadać... Dla nich ZOMO to przeszłość tak odległa jak sprawa świętego Stanisława. Nie mieli okazji się tego nauczyć... Bo i skąd?

– No niech pan nie przesadza! W programach nauczania...

– Wiem, wiem... – przerwał mu pan Józef. – W szkole... No właśnie dlatego, że w szkole. Wie pan, mam wnuka, który właśnie skończył gimnazjum. Dobry uczeń, żeby pan nie myślał. I dla niego opowieści o kolejkach do sklepów po wszystko, albo to, że były tylko dwa programy telewizyjne, to zwykłe trucie. Bajki, jak on to mówi. I tak myśli większość. Zresztą... Co się dziwić, jak nawet dla tych, co przeżyli „komunę”, to też wydaje się być bajką, albo snem – pan Jerzy wstał i wolnym krokiem zaczął przechadzać się po sali. Nagle zatrzymał się i z palcem wskazującym w pierś Wiktora zapytał: – Panie Wiktorze, nie dziwi pana, że tak wielu ludzi niedługo po upadku PRL-u zagłosowało na jego epigonów? Przecież to jest swoista paranoja, że taki Kwaśniewski, były aparatczyk pezetpeerowski zwyciężał w wyborach powszechnych człowieka, który obalił komunizm i jest za to powszechnie znany na całym świecie.

– A dzisiaj obaj wykładają na tych samych amerykańskich uczelniach – roześmiał się Wiktor. – Ale wie pan, to chyba jednak pewna prawidłowość. Ponoć gdyby po zakończeniu wojny nie zdelegalizowano NSDAP, to ponad połowa Niemców głosowałaby na nią, czyli dużo więcej, niż wtedy, kiedy Hitler sięgał po władzę.

– Ma pan rację. Tylko, że oni na prezydenta nie wybrali Baldura von Schiracha, a my wybraliśmy jego młodzieżowy odpowiednik!

– Trochę pan przesadza! – Wiktor także przysiadł na łóżku.

– W czym? Proszę mi pokazać! A może Stalin był lepszy od Hitlera? Może miał mniej ludzi na sumieniu? To że potem w

demoludach nie było masowych rzezi. A niech mi pan pokaże masowe mordy w frankistowskiej Hiszpanii, albo w Chile Pinocheta. Tyle ofiar na sumieniu ma i Gomułka i Jaruzel. Myśli pan, że nazizm by się też z czasem nie ucywilizował? – pan Józef zbliżył twarz do wąskiego pasa światła odbitego z korytarza i Wiktor zobaczył krwiste wypieki na jego licach. – Wie pan, dlaczego jednak Schiracha Niemcy nie wybrali? Wie pan? – nie czekał na odpowiedź. – Bo siedział w więzieniu. Po prostu!

– Czyli według pana Kwaśniewskiego też trzeba było wsadzić? – Wiktor nie wytrzymał i też wstał. – To może trzeba było wsadzić te całe dwa miliony unurzanych w komunizm Polaków?

– Może i trzeba było – potwierdził spokojnie pan Józef. – Od wielu rzeczy by nas to pewnie uchroniło. Mnie też... – dodał cicho. – Bo ja też wtedy powinienem znaleźć się w więzieniu. Nam rzeczywiście potrzebna była pokuta. Bo tylko wtedy można zaczynać coś nowego.

– Ale tutaj sytuacja była bardziej skomplikowana niż w powojennych Niemczech. Tam były organizacje uznane powszechnie za zbrodnicze. Tam łatwiej można było dokonać rozliczenia. Bo tam były konkretne zbrodnie, za które można było posłać nawet na szubienicę.

– A u nas nie było? – denerwował się pan Józef. – Też były, tylko na mniejszą skalę. Ale nawet te najbardziej jaskrawe typu górników z „Wujka” nie zostały uczciwie osądzone. Ale te inne były jeszcze bardziej może złe, bo mniej widoczne. Widzi pan... – pan Józef dyszał ciężko chwilę, niczym znowu zaczął mówić. – Mnie zawsze denerwowały spory o lustrację, dekomunizację i tym podobne bzdety, którymi karmiono tak obficie opinię publiczną. Przecież już od dawna na to jest już za późno. Trzeba było dokonać lustracji zaraz, natychmiast po przejściu władzy. Powinien to uczynić jeszcze rząd Mazowieckiego. A w więzieniach powinni znaleźć się w pierwszej kolejności esbecy i milicjanci, o partyjnych aparatczykach też

nie zapominając.

– Pan żartuje – roześmiał się drwiąco Wiktor. – Z Kiszczakiem jako przeglądającym teczki i wsadzającym swoich do więzienia. To nawet za Kozłowskiego nie było specjalnie możliwe.

– Ale setkom takich ludzi jak ja umożliwiłoby rozliczenie z własną przeszłością – załkał pan Józef. – Pan rozumie, jak ciężko jest żyć ze świadomością, że zrobiło się kiedyś coś złego i nie ma szansy na pokutę. Bo jest już na nią za późno.

– To trzeba było się z własnej woli przyznać do win, a nie czekać na odgórną decyzję – sarkastycznie odezwał się Wiktor.

– To nie takie łatwe odbyć sąd nad własnym życiem – zadumał się pan Józef. – Szczególnie jak cały czas uważało się, że nie zrobiło się tak naprawdę nic złego. Przecież ja ani nikogo nie zabiłem, ani nie wsadziłem do więzienia. Wie pan... Ja byłem tylko takim zwykłym... najzwyklejszym TW. Taki trochę winny.

Wiktor spojrzał z uwagą na swego rozmówcę. W półmroku szpitalnego pokoju jego twarz wydała mu się twarzą starca, a nie człowieka, który był o ledwie trochę ponad dziesięć lat starszy od niego. TROCHĘ WINNY! Dobre określenie – pomyślał.

– Wie pan, moja matka nigdy nie przestała narzekać na „czerwonego”, a ojciec siedział nawet za Stalina. A ja... – pan Józef znowu przerwał i potarł czoło. – A ja się sprzedałem. Tak, panie Wiktorze! Ja się sprzedałem. Wam było łatwiej. Wyście mieli już do czego uciekać. Była „Solidarność”. Było o co i z kim walczyć. Mojemu pokoleniu nie było to dane. Myśmy nie mieli tak łatwych wyborów. Myśmy nie mieli perspektyw, a „jedyne sprawiedliwe system” wydawał się wieczny.

– My też nie! – wybuchnął Wiktor. – Kiedy kończyłem studia w 88 roku, nikt nie przewidywał, że za rok dojdzie do jakiegoś „Okrągłego Stołu”. I mnie też tak jak kilku moim kolegom proponowano... – przerwał jakby słowo, które miał na końcu języka nie mogło przejść mu przez gardło. – Dobrze pamiętam tę

rozmowę. Wezwano mnie jak jeszcze kilku innych kolegów w sprawie rozprowadzania po akademiku nielegalnych wydawnictw. Ale nie o to im chodziło. Esbek, który mnie przesłuchiwał, wertował najpierw opasłe tomiszcze pełne jakichś dokumentów, by zaraz potem wyciągnąć z niego raport, w którym dokładnie opisano imprezę, na której byłem. Chciał mi w ten sposób pokazać, że mają na mnie haki. A przy okazji dać do zrozumienia, że mają swoich ludzi wśród nas. Bo i mieli. Opis imprezy był na tyle dokładny, że pochodzić musiał od jej uczestnika. To miało mnie zmiękczyć, bym łatwiej zgodził się na „pomoc”, jak to określił esbek. I wcale nie żądał, bym wydał tego, kto roznosił nam „pisemka”. Interesować ich miały tylko nastroje wśród studentów, o czym mówią, ale bez nazwisk, proszę pana, bez nazwisk. Tak mi mówił. A w zamian mieli mi pomóc w znalezieniu dobrej pracy i mieszkania w Krakowie. Za nic, dosłownie za nic, za przychyłność. I nawet bym nie musiał na kogokolwiek donosić.

– I co? Podpisał pan? – pan Jerzy zastygł w oczekiwaniu.

– A jak pan myśli? – roześmiał się Wiktor.

– Czyli miał pan na tyle odwagi, żeby nie podpisać. A mnie tego zabrakło. Tak, nie miałem odwagi odmówić. Tak jak nie miałem odwagi przyznać się nikomu do swojej przeszłości. Do dzisiaj! – nagle pan Józef podniósł głos prawie do krzyku. – Ale wam było łatwiej odmawiać. Wy już mieliście przykład. Wam było łatwiej! – załkał w szpitalną poduszkę.

– Panowie! – drzwi otworzyły się i wyłoniła się zaspana twarz pielęgniarki oddziałowej. – Jest środek nocy! Ludzie chcą spać. Jeszcze raz usłyszę was, to zgłoszę rano przy obchodzie. I to pan, panie Wiktorze.

– Przepraszamy – zdołał wyszeptać ze skrucą Wiktor.

Po wyjściu pielęgniarki zapadła głucha cisza. Wiktor słyszał głuche postękiwania dochodzące z łóżka pana Józefa, ale sam milczał. Mijały długie minuty. Wreszcie Wiktor zapadł w jakiś

ciężki, duszący pólśen.

Z mroków snu wyrwały go głuche pomruki. Pan Józef męczył się najwyraźniej z samym sobą.

– Śpi pan? – rozległo się ciche pytanie. – Panie Wiktorze?

– Nie! – sucho odpowiedział Wiktor.

– Czy możemy jeszcze porozmawiać? Chciałem panu wytłumaczyć...

– Jeśli pan chce...

– Bo widzi pan, ja nie miałem odwagi przyznać się do swojej współpracy nawet przed własną żoną. Chociaż myślę, że nawet ona by mi nie uwierzyła. To mogę? – Wiktor milczał. – Proszę mnie więc posłuchać. To nie jest długa historia.

– Słucham, panie Józefie – cicho odezwał się Wiktor. – Proszę mówić.

– Widzi pan, ja jestem stąd. Tu się urodziłem i tu umrę. Ale całe dorosłe życie spędziłem w dużym mieście. Nieważne którym. Moja żona do dzisiaj tam mieszka i dlatego odwiedza mnie jedynie w niedzielę. To nasze miasteczko, to prawdę mówiąc, zwykła galicyjska dziura, niewiele różniąca się od wsi. No może teraz coś się w niej ruszyło, bo kiedy ja tutaj mieszkałem, wszyscy się między sobą znali, wszyscy wszystko o sobie wiedzieli. I dlatego dzieciństwo miałem w sumie spokojne, bo Służba Boża – pan rozumie – zrobił porozumiewawczy gest – tutaj nie sięgała. Dla mnie problemy zaczęły się, gdy stąd wyjechałem. Najpierw, żeby uciec przed wojskiem, a potem w poszukiwaniu dobrej szkoły. Bo na studia wtedy z takich zapyziałych miasteczek, mało kto się dostawał. To był początek epoki Gierka i wszystko wydawało się wtedy łatwiejsze. Pan rozumie: „Daleko od szosy”. Trafiłem wtedy do takiego studium, gdzie uczono techników elektryków. Pan się śmieje. No tak elektrycy dzisiaj w modzie... I tam właśnie się zaczęło. Kiedyś przyszedł do mnie na stację kolega i razem



poszliśmy na dziewczynki. Wypiłem trochę za dużo, a była wtedy taka wódka z czerwoną etykietką, świństwo, którego pewnie dzisiaj mało kto by się napił. Pan tej wody nie pamięta, bo i skąd. Pan to pewnie żytko, albo Baltic, co?... – pan Józef zaśmiał się chrapliwie, ale prawie natychmiast znowu spoważniał. – No i rano obudziłem się w nieswoim łóżku. A następnego dnia ten kolega powiedział mi, że dziewczyna, u której byliśmy, chce nas oskarżyć o gwałt. Banałne, prawda? Ale esbecja lubiła takie banały. A to zdrada małżeńska, a to wypadek po pijaku. Tak było najprościej omotać ludzi.

– Czy pan myśli, że dopuścił się tam wtedy gwałtu? – zapytał Wiktor.

– Ani przez chwilę – roześmiał się pan Józef. – Wiedziałem od samego początku, że było to zwykłą niemożliwością, najzwyklejszą prowokacją. Ale co innego wiedza, a co innego rzeczywistość. Cóż za problem było wsadzić mnie do więzienia? Żaden. A znaleźć świadków gwałtu? Wtedy nie robiono publicznych badań na DNA... I całe życie zmarnowane. Ten kolega zaraz zresztą mnie ostrzegł, że, jeśli nie chcę kłopotów, to powinienem się natychmiast spotkać z jego przyjacielem, który wszystko załatwi... I tak trafiłem w ich łapy. Na początku to był tylko papierek i rozmowa z esbekiem, który obiecywał mi cuda niewidy. Lepsze oceny na egzaminach, dobrą pracę po szkole, załatwienie mieszkania. A wie pan, jak trudno było wtedy dostać mieszkanie w dużym mieście. I to wszystko za błahostki. Za jakieś tam opowiadanie o tym, co mówią moi koledzy na korytarzu, o czym mówi się przy wódce. Nic takiego, prawda? Nic złego. Tak wtedy myślałem. Ani z powodu moich donosików nikogo nie wsadzano do więzienia, ani tym bardziej nie zabijano. Ot tylko czasem komuś odmówiono miejsca w bursie, bo mu się zachciało narzekać na budowę drugiej Polski, albo nie dostał punktów przy staraniu na polibudę. Drobnostki. Nic naprawdę groźnego. A mnie działało się coraz lepiej. Z wyróżnieniem skończyłem szkołę. Zaraz też dostałem skierowanie do dużych zakładów. Po krótkim stażu dostałem stanowisko

kierownicze, mieszkanie. Jednym słowem jak na owe czasy byłem ustawiony. Ożeniłem się. I jedynym moim obowiązkiem było składanie cotygodniowych, potem comiesięcznych sprawozdań. No i czasem spotkania z oficerami prowadzącymi. Moje donosy nie miały pewnie wystarczającej siły, bo czasem mnie dodatkowo motywowano. A to trzeba było znaleźć coś na jakiegoś niesforne go inżynierka, albo dowiedzieć się o kimś jakiegoś szczególnie rodzinnego. Czasem nawet kazano mi donosić na członków partii. I tu, prawdę mówiąc, nie miałem żadnych oporów. Doniosłem na naszego kadrowca, że ukradkiem chodzi do kościoła, a syna do komunii posłał na drugim końcu miasta. Pan myśli – banały. Bo i takie były. Ale niejednemu życie skomplikowały. Jeden z tych inżynierków to się nawet na życie targnął. Ale nie, nie! – pan Józef gwałtownie zamachał rękoma. – Nie czuję się tutaj specjalnie winny, bo szybko się okazało, że to o babę po prostu chodziło. No ale z mojego powodu były inne drobne tragedie. Ktoś nie dostał paszportu, nie wyjechał na wczasy do Bułgarii, albo dziecko nie dostało stypendium. Wtedy nie czułem się z tego powodu szczególnie winny. Ludzie mnie lubili. Wie pan? – nagle się ożywił. – Wie pan, że, jak zaczęła się „Solidarność”, byłem jedynym kierownikiem w zakładzie, jakiego nie wywieziono na taczkach. Bo mnie zakazano bycia w partii i powszechnie uchodziłem za tzw. „porządnego człowieka”. To mi było zresztą potrzebne do pracy.

– Ja pewnie też miałem takich „porządných kolegów”! – jakby do siebie powiedział Wiktor.

– Pewnie tak, panie Wiktorze – ze smutkiem potwierdził pan Józef. – Z reguły kazano nam zyskiwać sobie przychyłność otoczenia. Łatwiej można tak było pozyskiwać informacje. Pewnie by się pan mocno zdziwił, gdyby się pan dowiedział, kto był autorem tego donosiku, który pokazano panu na bezpiece. Wie pan? – znowu przerwał na chwilę. – Ja się nawet kiedyś przyznałem jednemu ze swoich podopiecznych. I wie pan co? On mnie wyśmiał! Po prostu wyśmiał! Nie uwierzył. Stwierdził, że za dużo się naoglądałem teczek Macierewicza. Nawet jak moje

nazwisko odnaleziono na liście Wildsteina, to żaden z moich znajomych się ode mnie nie odwrócił. Wręcz przeciwnie. Dziwne, prawda? A i argumentacja była dziwna. Bo tylu porządnych ludzi tam się znalazło.

– Bo to prawda! – wybuchnął Wiktor. – Nikt nie ma prawa oskarżać ludzi tylko na podstawie tego, co pozostawiła bezpieka. A o fałszywkach pan nie pomyślał?

– Jakbym słyszał moją żonę! – roześmiał się pan Józef. – Pewnie, że i fałszywki tam były, ale ile. Pytam, ile?! Myśli pan, że bezpieka nic innego nie robiła, tylko myślała, komu by tu zaszkodzić w III RP, przepraszam, teraz chyba już w IV. Ja wiem, że większość nazwisk, które pojawiają się na listach, to autentyczni TW, trochę winni. Pewnie, że prawdziwi winowajcy byli zupełnie gdzie indziej. I nie tylko w bezpiece, ale też w komitetach wojewódzkich, miejskich, w komendach powiatowych. A później hurmą ruszyli do kapitalizmu i mieli łatwiej. I o tym też zapomniano!

– Tu się zgadzam z panem – Wiktor poderwał się z łóżka. – Kilku moich kolegów, którzy przed 89 zdążyli zaistnieć w nomenklaturze, to teraz „rekiny”. Myśmy ich nazywali „czerwonymi pajakami”. Ale im rzeczywiście przemiana ustrojowa pomogła. I to jest rzeczywiście niesprawiedliwe. Bo oni sukces zawdzięczają układowi i temu, że się zeszmacili w odpowiednim momencie. Ale taka jest demokracja.

– Nieco to kulawa demokracja. Nie uważa pan?

Znowu zapadła cisza. Wiktor zauważył, że za oknem pojawiły się już pierwsze oznaki poranka. Nawet nie zauważył, że noc minęła. Odruchowo spojrzął na zegarek. Do pierwszej wizyty siostry oddziałowej pozostała jeszcze godzina.

Pan Józef patrzył w sufit, a w kącikach jego oczu pojawiły się plamy wilgoci. A może tak się tylko Wiktorowi zdawało.

– Wie pan? – odezwał się drżącym głosem. – Chciałbym

odpokutować za swoje „grzeszki”. Nie chcę być nadal trochę winny. To naprawdę straszne uczucie. Wiedzieć, że się kogoś skrzywdziło i nie móc mu tego zadośćuczynić. Bo jak? No niech pan powie! Jak?! Oddam mu jego życie, zwrócę mu szansę na studia, na wyjazd za Wielką Wodę, załatwię mu lepsze życie w obecnym świecie w zamian za spieprzony start życiowy. Co mu to da, że przyjdę do niego i powiem, że kiedyś na niego donosiłem. Albo mi nie uwierzy, albo uzna za pomyleńca. Ja już nie wierzę, że otwarcie archiwów coś da? Kto tam będzie zaglądać? Jacyś zapaleńcy, wariaci. Ilu ich będzie? A mnie... A mnie już nikt z tego bycia trochę winnym nie uwolni... Już na zawsze pozostanę TROCHĘ WINNY!

Pan Józef wtulił twarz w poduszkę i zamilkł. Wiktor czekał. Nie chciał temu człowiekowi, który otworzył przed nim swoje serce, przeszkadzać.

Pan Józef nie odezwał się już słowem aż do obchodu, kiedy dyskretnie poprosił Wiktora, by ten opuścił salę w czasie jego rozmowy z dyżurnym lekarzem. Wiktor nie protestował.

Kiedy wrócił, pan Józef leżał obrócony twarzą do ściany. Chyba spał znużony całonocnym czuwaniem.

Wiktor nie próbował go budzić. Zresztą wkrótce zabrano go na obiecane badania.

Kiedy wrócił późnym popołudniem, łóżko pana Józefa było starannie zasłane.

– Gdzie jest pan Lewicki? – zapytał siostry, która przyniosła codzienną porcję leków.

– To pan nic nie wie? – zapytała zdziwiona. – Umarł! Zaraz po obiedzie. Umarł. Myślałam, że pan wie.

Autor: Winrich

Źródło: [Fabrica Librorum](#)

**OD AUTORA**

Tekst powstał na podstawie autentycznej rozmowy. Zapisałem go dla celów czysto faktograficznych. Proszę więc nie wpisywać go w aktualne wydarzenia lustracyjno-polityczne.